N^er 4. **Kraków 15 lutego 1868.** **Rok II.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny.— Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**.

Jeszcze o stowarzyszeniach.

I.

Nowe a wspólne potrzeby społeczne wywołują zawsze nowe środki zaradcze. W naszym wieku najsilniejszą dźwignią, podtrzymującą spójność społeczeństwa, stały się stowarzyszenia. — Każdy pojedyńczy człowiek, jako obywatel, wolny i wyzwolony z wszelkiéj zależności czy to osobistéj, czy stanowéj — pozostawiony jest dzisiaj własnemu losowi, na jaki sobie zapracuje. Ustała opieka wszelkiéj władzy — odkąd człowiek i społeczeństwo przyszło do świadomości swojéj pełnoletności i równości praw. Rzeczą władzy pozostało jedynie nie przeszkadzać nikomu w wykonywaniu jego praw i czuwać nad wypełnianiem obowiązków.

Wyzwolenie jednak każdego człowieka nie jest odosobnieniem jego. Człowiek jakto powiedziano, jest zwierze towarzyskie. Bez wspólności towarzyskiéj, bez wzajemnego pomagania sobie i wyręczania się, życie byłoby niemożliwém, nie byłoby społeczeństwa, ani narodu. Jak dla domowego życia wspólność rodzinna, jak dla narodowego bytu wspólność państwowa — tak i dla społecznego życia muszą być warunki odpowiednie jego potrzebom i wymaganiom. Pomocy z góry jak to dawniéj bywało, pomocy bądź to od władzy, bądź od dobrodziejów czy to świeckich czy duchownych, dzisiaj już być nie może, a więc społeczeństwo zdobywszy raz prawo myślenia samo o sobie, ma zarazem i obowiązek wydobycia ze siebie samego warunków potrzebnych do własnego istnienia. Warunków tych, środków, sposobów nikt pojedyńczy nie dostarczy — złożyć się na nie muszą i mogą jedynie wspólne, dobrowolnie na siebie i dla siebie nałożone ciężary — i ta to właśnie, jedynie dzisiaj możliwa i zbawienna zasada, jest rodzicielką stowarzyszeń.

Ile jest potrzeb podwójnéj natury ludzkiéj fizycznéj i umysłowéj, ile tylko interesów społecznych potrzeby te wywołują, tyle stowarzyszeń powstawać musi dla popierania tych interesów.

W tym duchu, chociaż późno w porównaniu z innemi krajami, odbywa się już nareszcie i u nas ogólniejszy ruch. Rozpoczął się od stowarzyszeń wielkich kapitałów: kolejowych, kredytowych, ogniowych; obejmuje ogólne interesa umysłowe, oświatę za pomocą towarzystw naukowych i sztuk pięknych; następnie wnikając coraz szerzéj w przekonania ludzi, pomoc ta rozciąga się już i na mniejsze, miejscowe interesa za pośrednictwem banków pożyczkowych, towarzystw wzajemnéj pomocy, gimnastycznych, konsumcyjnych itd.

Ruch ten obok innych już niejednokrotnie przytaczanych korzyści, przyniósł nam jeszcze jednę nową zdobycz społeczną:

W Ameryce, w Anglii toczy się już w ciałach prawodawczych rzecz o polityczne równouprawnienie kobiet. U nas, pominąwszy już to, że nie sami się rządzimy, ma sprawa ta odmienną postać. Podnosiliśmy już nieraz w piśmie naszém tę okoliczność, że nikt w Polsce kobietom praw nie zaprzecza, że w praktyce, w najważniejszych chwilach narodowego życia — kobiety najważniejszemi, publicznemi interesami się zajmują, jeżeli w danym razie zachodzi tego potrzeba i znajdą się osobistości odpowiednio uzdolnione. Działo się to i dzieje na mocy milczącéj zgody i zezwolenia społeczeństwa. Opinia publiczna, ogólne przekonanie nic nie miały dotąd przeciwko temu.

Dzisiaj atoli została sprawa ta już formalnie załatwioną. Przekonanie ogólne objawiło się wyraźnie w stowarzyszeniach, do których kobieta ma zupełnie wolny przystęp, tak jak każdy mężczyzna, jak każdy obywatel.

O tych więc stowarzyszeniach pomówimy słów kilka dla zwrócenia na nie uwagi publiczności żeńskiéj.

Zaczniemy najpierw od dwóch, mających na celu rzeczy najbliższe, tj.: codzienny chleb i zdrowie.

1) **Towarzystwo konsumcyjne,** istnieje już w Krakowie drugi rok, a takież samo jest we Lwowie i Rzeszowie. Z początku ograniczone było (krakowskie) na urzędników, dzisiaj, gdy każdemu jest przystęp otwarty,

stało się ogólnem, publicznem. Celem jego jest, ażeby najważniejszych potrzeb do życia: opału, pieczywa, mięsa, światła, wina, mąki, kaszy, kawy, herbaty i w ogóle wszystkich potrzeb domowych dostarczać rodzinom tanio i w dobrym gatunku. Sprawa ta obchodzi zapewne każdą gospodynią domu. Dotąd rozwija się towarzystwo dosyć pomyślnie — atoli wielkich korzyści dostarczać będzie mogło dopiero przy wielkim wzroście liczby członków. Wzywamy więc ojców rodzin i gospodynie domu wszelkich warstw społecznych do przystępowania do tego towarzystwa. Warunki są jak najłatwiejsze i każdemu przystępne. Sklep towarzystwa, gdzie o szczegółach poinformować się można, jest przy ulicy Mikołajskiéj.

Z drugiéj strony robimy uwagę zarządowi Towarz., żeby obmyślał środki do większego zainteresowania publiczności, żeby czynności swoje więcéj ujawnił i ułatwił zapisywanie się do towarzystwa przez ustanowienie ku temu kilku miejsc w różnych stronach miasta. Sądzimy również, że po zamianie towarzystwa na publiczne, powinien się odbyć nowy wybór zarządu, do którego przynajmniéj jedna kobieta koniecznie wybraną być powinna, jako kompetentna, dająca przeto rękojmią praktycznego kierunku towarzystwa.

2) „W celu ułatwienia tyle zbawiennego dla zdrowia rozwinięcia i wyrobienia sił fizycznych przez gimnastykę, sztukę pływania, szermierkę i jazdę konną, zawiązanem zostało w Krakowie (na wzór lwowskiego „Sokoła“) dobrowolne stowarzyszenie z osób obojéj płci, pod nazwą: „Towarzystwo gimnastyczne krakowskie“, które za godło przyjęło „Orła białego“. Do Towarzystwa należeć może każda osoba nieposzlakowana, najmniéj lat 18 licząca.

Pisaliśmy już nieraz o potrzebie i ważności wychowania fizycznego, wielce dziś zaniedbanego. Jest to jeden z najgłówniejszych warunków zdrowia i siły pokoleń, a więc całéj przyszłości społeczeństwa. W innych narodach uznano to już dawno; wszystko co żyje należy tam do towarzystw strzeleckich i turnvereinów, gimnastyka jest przedmiotem obowiązkowym w szkołach męzkich i żeńskich, a nawet urządzono szpitale, gdzie gimnastyka czynna i bierna jest wyłącznym środkiem leczniczym. U nas istnieje już kilka prywatnych szkół gimnastycznych, ale że daleko do tego, żeby naukę tę w zakładach publicznych zaprowadzono, więc jedynie stowarzyszeniami radzić sobie możemy. Za przykładem „Sokoła“ lwowskiego zawiązały się one już po kilku miastach i liczba członków uczennic i uczniów ciągle wzrasta. Obecne krakowskie rokuje również należyty rozwój, raz jako odpowiednie potrzebom i że powstało za sprawą tak poważnych i energicznych ludzi, jakoto: pp. Dr. Dietl, X. Górnicki, Dr. Machalski, Kieszkowski dyr. tow. ogn., prof. Rozwadowski, Jawornicki ob., Hipolit Witowski, dyr. wyd. dzieł tanich, Eminowicz, nacz. str. og.

Należy się spodziewać, że ogół zrozumie doniosłość tego towarzystwa, że szkoły i pensjonaty wejdą z niém w stosunki, że więc niezadługo miasto nasze orłami i orlętami się rozweseli.

Zwracamy też uwagę wszystkich miast naszych, że powinny coprędzéj iść za przykładem Lwowa i Krakowa.

Ustęp końcowy dramatu historycznego

pod tytułem

JADWIGA. *)

AKT IV.

Scena I.

Komnata królowéj na zamku krakowskim; krzesło w głębi, klęcznik na przodzie.

Senatorowie, Bodzanta, biskup krakowski; Jadwiga, wchodzi bocznemi drzwiami; Senatorowie schylają głowy przed nią; ona idzie ku krzesłu i siada.

JADWIGA.

Naród takiéj ofiary wymagać nie może
Od przysięgi uwolnić, Ty jeden, o Boże
Mocen, ale Ty nie chcesz, boś Ty miłosierny'
Matka mi błogosławi, a mój Wilhelm wierny!
I ja mu wierną będę!

TARNOWSKI (z gniewem).

Wierności za wiele!
Mamże taką odpowiedź powtórzyć Jagielle?
Co na to lud nasz powie, w murach tego grodu?
Tyś wybrana miłością całego narodu,
Ty królowa, na straży ojczyzny i wiary,
Dla kraju i dla Boga odmawiasz ofiary?

JADWIGA.

W Polsce wszystkim od królów dana jest swoboda,
A królowa ma płakać, dziewica i młoda?

TARNOWSKI

Monarchowie dni swoich nie liczą na lata,
Ich wiek o tyle długi, ile wobec świata
Naród przebył kolei. Narody jak rzeki
Płyną w wieczność. Królowo, ty masz cztéry wieki!
W tobie jest Polska cała, boś na polskim tronie,
Córo Piastów! korona ich ściska twe skronie.
Bądź mężna jak Łokietek, Krzywousty, Chrobry;
Pomnij, że dziad Kazimierz był Wielki, bo dobry!
A królowa Dąbrówka ręki swéj ofiarą
I małżonka i naród obdarzyła wiarą.

---

*) Wielekroć próbowano już przedstawić w dramacie królową Jadwigę, tę ulubioną od narodu postać. Mamy ogłoszone drukiem utwory sceniczne, osnute na tle zaślubin Jagielly, przez A. hr. Przezdzieckiego, J. Szujskiego, A. Liberównę. Obecnie przybywa gotowy już jeden jeszcze utwór, z którego podajemy tutaj końcowe sceny ostatniego aktu, za nim całość dramatu pojawi się na scenie.

Przeszłość i przyszłość Polski zlane w twéj osobie
Jadwigo, niechaj Polska nie zamiera w tobie!

JADWIGA.

Niewiasta nie podoła! Duch we mnie zamiera
Jak złączyć cnoty niewiast z sercem bohatera?
Z ziemią razem przeminie królewska potęga,
Mnie wiecznie zgubić może złamana przysięga!

(po chwili milczenia)

Raz przysięgłam... nie mogę wiązać się raz drugi.

TARNOWSKI.

Wypełniać rozkaz królów, to powinność sługi;
Lecz i sługa powinien wyrzec prawdy słowo
Gdy widzi złe co grozi. Grzeszycie królowo!
Przyszłość ciebie osądzi; powiedzą w przyszłości:
Jadwiga kraj zgubiła dla płochéj miłości!
Mogła naród uczynić potężny, wsławiony;
Mogła ofiarą serca pozyskać miliony
Dla Boga; siebie mogła uświęcić... nie chciała;
Bo siebie nad Ojczyznę, nad Boga kochała:

(Kłania się i odchodzi, za nim inni Senatorowie; Bodzanta tylko zostaje z Jadwigą.)

Scena II.

Jadwiga. — Bodzanta.

JADWIGA (w silnym niepokoju zwraca się do Bodzenty):

Ojcze! litości dla mnie — Jam słaba istota!
Stoję jak na rozdrożu — i nie wiem gdzie cnota?
Bo zdradzać wierne serce — bo przysięgę łamać,
Ach i za to Bóg karze! — A ja nie chcę kłamać. —
Czemuż innéj królowéj naród nie obierze?
Dla czego mnie ufają?... Ja w siebie nie wierzę,
Ja tylko kochać umiem! Drodzy mi poddani,
Lecz kiedy Lud mnie kocha — czemuż serce rani?..

(ze stałością.)

Ojcze, kocham Wilhelma! On ma moje słowo,
Przysięgłam — będę wierna i mężna!

Biskup BODZANTA (z uroczystą powagą).

— Królowo,
Kochasz?... innéj miłości Bog od nas wymaga,
Mężnaś?... w chrześciańskiém sercu inna jest odwaga!
Ten co walczy dla siebie, ten co siebie kocha,
Tego męstwo słabością — tego miłość płocha —
Miłość, któréj Bóg od nas swych dzieci wygląda,
„Wszystko daje, niczego dla siebie nie żąda“ —
Miłość taka zwycięża i cierpi dla wiary,
Taka miłość podnosi duszę do ofiary!

(Jadwiga płacze.)

Ty płaczesz? płacz królowo! Bóg łzy twoje zbierze,
W łzach twoich Lud obmyty, odrodzi się w wierze!
Cierpisz? Bóg twéj boleści będzie błogosławił,
On, co przez boleść Syna całą ludzkość zbawił. —
Patrz! godzina zasługi do ciebie się zbliża,
Spojrzyj jak ten świat mały z wysokości krzyża, —
A samaś w téj małości jak drobna kropelka,
Stop się w morzu miłości — jakże będziesz wielka!

(Królowa rozbrojona usuwa się zwolna na klęcznik; Biskup mówi daléj jakby w natchnieniu.)

Jadwigo! sam Zbawiciel w winnicy cię czeka —
Patrz — śród lasów gród z cegły czerwonéj, i rzeka,
To Litwa! ach to Wilno, to Wilii nurt świeży...
Te jęki — to Krywejte lud swój żegna z wieży, —
Ten hałas — to się gaje poświęcone walą, —
Ten płomień — to się Znicze raz ostatni palą, —
Ta radość — to Jadwiga wjeżdża do stolicy, —
Ten śpiew — to hymn rycerzy, pieśń Boga-Rodzicy,
Te tłumy — to pogaństwo do stóp krzyża spieszy,
Ta jasność ponad niemi — to niebo się cieszy!
Pieśni, hymny i dzwony, i tysiączne głosy,
Z ostatkiem dymów Znicza lecą pod niebiosy, —
A echo z ponad Wilii dwojąc wszystkie tony,
Poraz pierwszy i słyszy i powtarza dzwony.

(Chwila milczenia — słychać łkanie królowéj — Biskup wznosząc ręce jak do moolitwy.)

O Panie! kiedy Polska téj ofiary godna,
Dozwól Jadwidze kielich wypełnić aż do dna!

(Ciszéj.)

Tak w ogrodzie oliwnym w łzach i krwawym pocie,
Bóg sam cierpiał nim umarł za nas na Golgocie.

(Wychodzi z cicha.)

Scena III.

JADWIGA (przez chwilę pogrążona w głębokiéj modlitwie, podnosi się zwolna.)

„Kto ich słucha, mnie słucha... Głos Ludu, głos Boga!“
Bóg chce, czemuż w mém sercu jeszcze taka trwoga?...
Bóg przez usta kapłanów, Bóg przez usta Ludu
Woła do serca mego....

(klęka.)

— Boże! cudu, cudu!
Niech zapomnę Wilhelma!

(po chwili.)

Zapomnieć nie mogę,
Nie mogę! czarny tuman zasłonił mi drogę,
Nic nie widzę — nie słyszę, prócz jego i siebie....
Matko, jakżeś daleko! w tak ciężkiéj potrzebie
Nikogo do porady, ani ku pociesze!

(postrzegając się.)

Nikogo? a Bóg? Boże przebacz mi — ja grzeszę.
Ja nie jestem sierota — ja Matka narodu!
Namaszczona jak kapłan do walki za młodu —
Berłem mojém krzyż święty — mojém wianem cnota,
Ojcem moim Bóg w niebie — o! ja nie sierota,
Ja Matka, ja chrześcianka!

(wpadając jakby w widzenie.)

— Już i nie tak ciemno....
A teraz jakże jasno! cóż się stało zemną?

(cofa się przerażona.)

Co to? przepaść o Boże!... Boże! Tobie dzięki,
Mogłam upaść i zginąć Ojcze bez Twéj ręki!

(ogląda się.)

Co za lud mnie otacza?... wpół dziki, a w bieli?
Słyszę chóry nad sobą... czy to są Anieli?...
To Litwa do chrztu spieszy wolna i szczęśliwa,
Litwa mojém imieniem na Matkę mnie wzywa!

CHÓR.

Chwała na wysokości! Chwalim Panie Ciebie!

JADWIGA (w zachwyceniu.)

Co za pienia radosne! czy już jestem w niebie?

CHÓR.

Pokój ludziom na ziemi — ludziom dobréj woli!

JADWIGA.

O! i ja śpiewam z niemi... czemuż serce boli?!

(klęka.)

Zstąp ku mnie Duchu święty w miłości, w pokoju,
Duchu męstwa, mądrości, uzbrój mnie do boju!

(coraz ciszéj.)

Śpiewajcie! ach śpiewajcie! o Boże, o Panie,
Nie moja, ale Twoja wola niech się stanie!!

(upada zwolna krzyżem — zasłona spada.)

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

Podług rozkazu pana służący cicho i ostrożnie skradał się do biblioteczki. Wśród ciszy, jaka panowała w całym domu, długiego potrzebował czasu, aby bez najmniejszego łoskotu pootwierać drzwi, nie potrącić wśród ciemności o żaden sprzęt; dobre więc upłynęło pół godziny zanim stanął przy otworze kaflowego pieca. Zaparł dech w sobie, nachylił się i zajrzał do sypialni pani.

Przy stoliku, na którym stała lampa, siedziała Irreoltema; była sama. Odblask zielonéj umbrelki trupią bladość nadawał jéj pięknéj twarzy; oczy takie płonące, iskrzące, mowne, w téj chwili były zimne, jak wypalone węgle, któremi ktoś rachunki pisze po ścianie. Utkwiła je nieruchomo w posadzce i przygryzając wargi, zdawała się coś głęboko obmyślać i kombinować. Zimny rachunek w twarzy pięknéj kobiety, zrobił na służącym wrażenie jaszczurki, co się wsunęła między róże i wystawia z sykiem żądło. — Już zabierał się do odejścia, by zdać panu czekającemu zapewne niecierpliwie pod altaną relacją i uspokoić go, gdy jedna rzecz zatrzymała go jeszcze na dłużéj i zajęła jego uwagę. Irreoltema wstała, zbliżyla się do biórka, wyjęła z niego małą misternie kością słoniową wykładaną szkatułkę i postawiła ją na stoliku obok lampy. Nachyliła się ku niéj i wyjąwszy z za gorsa maleńki kluczyk wiszący na gumowym sznureczku, zabierała się do jéj otworzenia. Naraz zatrzymała się, niespokojnie obejrzała się i poszła ku oknu. Tu starannie poprawiła story, aby nie zostawić żadnéj szparki, przez którą ciekawy wzrok mógłby się wcisnąć w głąb pokoju. Następnie przeszła ostrożnie pod drzwi. Chwilkę małą nasłuchiwała uważnie, potém obróciła klucz w zamku i wyjęła go zasłoniwszy starannie dziurkę. — Te przygotowania zwróciły uwagę służącego, obudziły jego czujność i podejrzliwość, począł więc baczniéj ją śledzić i czekał. Irreoltema wróciła do szkatułki, otworzyła, wyjęła z niéj niebieski papier w kilkoro złożony, rozwinęła i położyła przed sobą. W papierze był jakiś biały proszek. Następnie wzięła z biurka drugą szkatułkę niezamkniętą. Antoni poznał, że to była szkatułka, z któréj pani udzielała mu lekarstwa dla pana. Wyjęła z téj szkatułki kilka proszków, rozwinęła je i do każdéj dozy dosypywała owego proszku z niebieskiego papieru. Służący patrząc na to, począł snuć w duszy straszne domysły.

— A gdyby tak było? — pomyślał sobie i cierpnął cały z przerażenia przypatrując się téj kobiecie, jak z zaciśniętemi ustami, z blado-zieloną twarzą bez drżenia i wzruszeń zajęta była swoją robotą.

Jest we wzroku człowieka jakaś siła magnetyczna, która działa na nasz ustrój nerwowy nawet wtedy, gdy oczy nasze i uwaga w inną skierowane są stronę, co więcéj, sprawdzone jest doświadczeniem, że nawet śpiący uczuwają siłę utkwionych w nich oczów i budzą się, jakby potrąceni niewidomą ręką wzroku. — Taką siłę musiało mieć spojrzenie sługi wpatrującego się z przerażeniem w panią, bo Irreoltema naraz drgnęła i błyskawicowe spojrzenie skierowała w otwór pieca kaflowego; dojrzala w ciemności wśród szklących floresów kafli dwoje błyszczących przenikliwych oczów, zbladła skoczyła jak hyena w tę stronę i krzyknęła głośno:

— Kto tam?

Służący osłupiał z przestrachu i ~~unął się na bok w ciemności, by nie być widzianym.

Irreoltema wpatrywała się w ciemność — nasłuchiwała. Najmniejszym szmerem nie zdradził służący swéj obecności, a ciemność pokoju była mu dostateczną osłoną. Naraz usłyszał jak jego pani z szybkością i gwałtownie otworzyła drzwi od swego pokoju. Z pośpiechem więc wymknął się z biblioteczki, zamknął za sobą drzwi od sionki — przebiegł szybko na palcach przez pokój pana i ledwie zdołał dostać się do przedpokoju i usiąść, gdy Irreoltema stanęła przed nim. Była pomięszana i blada, czarne oczy zpod zmarszczonych brwi rzucały dzikie, złowrogie spojrzenia. Wobec jéj niepokoju służący silił się być ile możności najspokojniejszym; usłyszawszy wchodzącą, przymknął lekko powieki udając zdrzemnięcie.

— Kto tu był? — spytała Irreoltema budząc go.

— Kto taki? gdzie?

— Czy nikogo tutaj nie widziałeś? — Nikt tu tędy nie przechodził?

— Nie, pani.

— Kłamiesz.

— Dlaczegóż miałbym kłamać?

— Dawno tutaj siedzisz?

— Od godziny?

— I nikogo nie widziałeś? — spytała zbliżyjąc się ku niemu i topiąc w niego spojrzenie ostre jak sztylet. Spojrzyj mi w oczy.

Antoni nie mógł nigdy znieść i wytrzymać siły tego spojrzenia, które chłodem i pogardą gniotło go ku ziemi; dziś jednak chłód ustąpił przed niepokojem — miał więc nad nią przewagę czystego sumienia i nie wahał się spojrzeć jéj czysto, głęboko w oczy, tak, że je spuścić i odwrócić się musiała.

— Weź światło i chodź za mną do pokoju pana.

Wszedłszy tam, rozglądała się pilnie naokoło.

— A te drzwi gdzie prowadzą?

— Do sionki.

— Z któréj jest wyjście jakieś. —

— Na ogród.

— Innego nie ma? Wszak jakiś pokój musi dotykać do méj sypialni?

— Jest biblioteczka.

— Jest więc.

Postąpiła spiesznie naprzód i chwyciła za klamkę.

— Co, to zamknięte?

— Tak.

— Otwórz.

— Nie mogę. Klucz jest u jasnego pana.

Zastanowiła się chwilkę — potém rzekła:

— Więc ktoś od ogrodu wejść musiał. Wyraźnie widziałam. — Źle pilnujecie domu, jakieś włóczęgi zakradają się i straszą mnie. — Czego się tak wpatrujesz przez okno w ciemności?

— Szukam śladów; ale droga wiodąca do sionki zasypana śniegiem, na którym ani śladu stopy ludzkiéj.

— Byłożby to przewidzenie? — rzekła do siebie kładąc rękę na czole. — Nie, to niepodobna — wyraźnie widziałam. — Antoni, idź i przejrzyj dobrze dom, czy się kto nie zakradł.

— Któżby mógł.

— Kto? Ja nie wiem. Są źli ludzie, ja się boję. Idź, pozamykaj drzwi wchodowe.

To rzekłszy, odeszła powolnym krokiem zamyślona. Służący pokręcił głową.

— W tém coś jest, ona nie napróżno się boi.

Urwał swój monolog i nasłuchiwał pilnie odchodzącą, któréj oddalanie się można było poznać po zamykanych kolejno drzwiach. Kiedy ostatnie się zamknęły — Antoni ostrożnie wyszedł na dwór.

Nie długo po tém dwie męskie postacie wsunęły się cichaczem do pałacu.

III.

Zmylone tropy.

— Pani już wstała? — spytał pułkownik wchodząc do jadalnéj sali.

— Nie jeszcze — odrzekł Antoni krzątając się koło zastawy do herbaty. — Czy nalać panu pułkownikowi?

— Nie potrzeba. Zaczekam.

Wziął gazetę i rzucił się niedbale na kanapę. Od czasu do czasu przerywał pytanie i niecierpliwie spoglądał na zegarek.

— Jednak to już dość późno — odezwał się po chwili.

— Już na sumę dawno przedzwonili.

— Może pani chora? — słaba?

— Nie. Służąca nic o tém nie mówiła. Pani wysłała ją do kościoła, więc musi być zdrową.

— A ty nie poszedłeś do kościoła?

— Służba nie pozwala, panie pułkowniku.

— Wszak wszystko już przyrządziłeś — nie będziesz potrzebny — możesz iść.

— Ale pani....

— Usprawiedliwię cię przed panią. Pani nie będzie ci miała pewnie za złe, że dopełniasz obowiązków religijnych.

Służący skłonił się i wyszedł. Po jego odejściu pułkownik spojrżał znowu na zegarek i nasłuchiwał. Potém zerwał się gwałtownie i pobiegł ku drzwiom prowadzącym do pokoju Irreoltemy. Chwycił za klamkę i już ją miał nacisnąć, gdy drzwi się otwarły i ujrzał przed sobą Irreoltemę. Była bledszą niż wczoraj, pod oczami ciemne doły świadczyły o źle przespanéj nocy.

— A to co? — spytała wstrzymując spojrzeniem pułkownika.

— Pani tak długo każesz czekać na siebie.

— A pan czekać nie lubisz?

— Każda chwila w tym domu bez ciebie wydaje mi się straconym czasem. A pani tyle mi ich odkradasz. Sądziłem, że równie jak ja będziesz się spieszyć, by nagrodzić stracony wczorajszy wieczór.

— Usnęłam późno w nocy.

— I żal ci było poświęcić trochę snu dla mnie — rzekł z ironią pułkownik. — Kiedy ja płonę, goreję, kiedy przyspieszonemi uderzeniami serca liczę niecierpliwie chwile twéj nieobecności, ty spokojnie dosypiasz swoje godziny, jak gdyby chwile naszego widzenia się nie były policzone. O Irreoltemo, przez litość nie bądź taką.

Ukląkł przed nią i przycisnął dłoń jéj do rozpalonych ust. Wyrwała ją z pospiechem.

— Co pan robisz? lada chwila może kto wejść.

— Nikt nie wejdzie, w całym domu nie ma nikogo, tylko my, my sami — rzekł obejmując jéj kibić i tuląc do siebie. — Irreoltemo! nikt nie zamąci nam téj chwili szczęścia. Niech ona nagrodzi mi długie męki, jakie ponoszę dla ciebie.

Gwałtowne otwarcie drzwi przerwało dalszy wylew uczuć.

Kochankowie spojrzeli w tę stronę.

— Mąż — krzyknęła Irreoltema — odepchnęła pułkownika od siebie i postąpiwszy szybko ku Edwardowi, objęła jedną ręką jego szyję — a drugą wskazując na klęczącego pułkownika, rzekła z siłą:

— Mężu, uwolnij mnie od widoku tego człowieka. On zelżył mnie, żonie swego brata śmiał mówić o miłości.

Edward osłupiał; tego co zaszło, nie spodziewał się wcale. Wprowadzony nocą do domu przez służącego, oczekiwał dziś niecierpliwie pod drzwiami zejścia się kochanków; chciał z piorunami stanąć przed wiarołomną żoną i powiedzieć jéj: podła! chciał pastwić się widokiem jéj przestraszonéj twarzy, zdemaskowanéj miłości — a tu naraz ta żona rzuca mu się na piersi, błogosławi chwilę jego przyjścia, nazywa wybawcą swoim i wzywa go, by bronił jéj honoru. To téż nie mógł przyjść do siebie z podziwu, osłupiałemi oczami patrzał to na nią, to na brata, zmięszanego również tą sceną — w głowie mu się pomięszało. Chwycił się oburącz za czoło i zawołał znękanym głosem:

— Przez Bóg żywy, niech mi kto z ludzi powie, czy ta kobieta mnie nie zwodzi?

— Niech on ci to powie — rzekła — z pospiechem rzucając pułkownikowi wraz z słowami rozkaz w spojrzeniu.

— Jam winny — rzekł ponuro pułkownik — jeżeli zechcesz zadosyćuczynienia — dam je, kiedykolwiek i gdzie ci się podoba.

— Więc nie dosyć ci hańbić żonę, chcesz jéj zabić męża — zawołała z uniesieniem Irreoltema. — Edwardzie, na miłość twoją ku mnie zaklinam cię, tyś się z nim bić nie powinien.

Te słowa rozstrzygnęły wątpliwość Edwarda, uśpiły jego podejrzenia. Przycisnął żonę do piersi z miłością, a bratu rzucając groźne spojrzenie, pokazał ręką drzwi i rzekł:

— Precz!

Pułkownik ze spuszczoną głową, zmięszany, upokorzony opuścił salę.

W chwili jego odejścia Edward z ukosa śledził żonę, spodziewał się na jéj twarzy dopatrzeć choćby słabe oznaki wzruszenia. Nic nie zobaczył. Marmurowa twarz Irreoltemy nie drgnęła, nie zarumieniła się, a oczy pogardliwe spojrzenia rzucały na uwodziciela.

Gdy się drzwi zamknęły, Edward wziął żonę za rękę i całując ją, odezwał się:

— Przebacz mi Irreoltemo moją niewiarę i podejrzliwość.

— Który to już raz?

— Dręczę cię tém — to prawda; ale wierz mi, że najwięcéj dręczę siebie. Kiedy jestem przy tobie — uspokojony twemi słowami, jestem szczęśliwy; ale gdy sam jestem, podejrzenia wyłażą z serca jak gadziny zpod grobowych kamieni i gryzą mi serce okropnie. Nie czuję się godnym twéj miłości — dlatego w nią uwierzyć mi trudno. Gdybym miał pewność, że mnie nie kochasz — możebym cierpiał wiele, ale koniec końcem przecierpiałbym, przebolał i zapomniał może. Ale to szamotanie się między nadzieją i zwątpieniem — to jest męczące, straszne.

— Czegóż więc chcesz odemnie?

— Ja sam nie wiem. Zdawało mi się, że uwożąc cię z Warszawy, osiadając w téj samotni, będę zupełnie szczęśliwym; los i tu nasłał udręczyciela. A kiedy tego braknie teraz, to moje własne serce będzie mi nasyłać nowych, będzie mi szeptać, że ty się tu nudzisz ze mną, że ciebie takie pustelnicze życie nie zadawalnia, żem cię zrobił nieszczęśliwą. — Ha, jaki ja dziwny — sam siebie nie cierpię za to.

— Nie mówmy już o tém. Ale tyś słaby. Czoło twoje zimne, a ręce rozpalone i wilgotne.

— To z nieprzespanych nocy i zaziębienia. Czuję się zmęczonym. Pójdę do siebie spocząć nieco.

Tu pocałował ją w rękę. Irreoltema z troskliwością i czułością wzięła go pod rękę i zaprowadziła na spoczynek. Niezadługo wróciła do sali pospiesznym krokiem, na twarzy znać było znudzenie i przesyt. Rzuciła się na kanapę i odetchnęła.

— Och, to męka takie życie. Kiedyż się uwolnię od tego człowieka?

Skrzywiła się cierpko jak po wypiciu gorzkiego lekarstwa i z tym wyrazem na twarzy zamyśliła się o czémś głęboko.

— Więc on się ukrywał w domu — szeptała do siebie po chwili — więc téj nocy to on był?

Wzdrygnęła się.

— Jeżeli on widział, jeżeli się domyślił. Jeżeli będzie chciał robić próby na mnie? — Boże!

Wstała żywo, potém sięgnęła ręką do kieszeni, wyjęła z niéj flaszeczkę i potrząsając nią, rzekła:

— To mnie ocali, a jego podejrzenia uspokoi.

Skrzypnięcie drzwi przestraszyło ją, odwróciła się ku nim z pospiechem.

— Pan prosi pani do siebie — odezwał się Antoni unikając spotkać się z jéj wzrokiem. Zadrzała lekko i szła. Za odchodzącą spojrzał służący szyderczo i rzekł:

— Złapałaś się we własne sidła — poszedł za nią na palcach i stanął pod drzwiami pokoju, w którym następująca odbywała się rozmowa:

— Irreoltemo — mówił Edward — nie wiem czemu,

ale dziś ogarnia mnie jakaś trwoga na widok tego lekarstwa, które stoi przedemną. Chciałbym je użyć, bo czuję tego potrzebę, a boję się. — Pomoż mi odpędzić tę śmieszną trwogę — spróbuj pierwéj sama.

Irreoltema była blada jak ściana, a siliła się do uśmiechu, drżącą ręką sięgnęła po szklankę i przytknęła ją do ust. Przez ten czas Edward nie spuszczał z niéj oka, widział jéj pomięszanie, drzenie. Poskoczył ku niéj z wściekłością i ściskając ją za rękę, zawołał:

— Ha, więc boisz się tych leków, któremi mię karmisz od tak dawna.

— Co? — odrzekła dumą marszcząc brwi. Rzuciła na niego z wysoka spojrzenie pogardliwe, potém odwróciła się, przechyliła szklankę i jednym tchem wypiła.

Kiedy postawiła szklankę, Edward już był u nóg jéj, tarzał się jak robak zgnieciony, całował jéj nogi i przepraszał. Korzystała z téj chwili, dobyła z kieszeni flaszeczki i wychyliła ją szybko. Otarła z czoła krople zimnego potu, spojrzała w zwierciadło, i uspokojona usiadła. Edward czołgał się za nią po podłodze i jęczał.

— Irreoltemo, daruj mi to czarne, obrzydliwe podejrzenie, nie odemnie ono wyszło. Zaraz dowiesz się o wszystkiém.

Zerwał się i zadzwonił. — Wszedł Antoni.

— Idź i zawołaj rządzcy. — Służący wyszedł.

— Wiesz, to ten łotr śmiał mi podsunąć myśl taką, on mnie przestrzegał. O zemszczę się na nim okropnie — tylko ty mój aniele nie karz mnie za to.

Milczała i patrzała na niego poważnie.

W téj chwili wszedł rządzca — za nim służący.

— Tego łotra — zawołał z uniesieniem Edward — wskazując na służącego — wyprowadzić i osmagać. Sto kijów, a potém precz ze dwora!

(Ciąg d. nast.)

O obłędach pospólnych

według publicznego odczytu

Dr. Oettingera.

(Ciąg dalszy.)

Pochody dziecięce.

Ostygający już po dwuwiekowych wysileniach a na porywający głos pustelnika z Amiens, niegdyś ogniem powszechnego uniesienia pryskający zapał do wojen krzyżowych odzwierciedlił się w 13tém stuleciu ery chrześciańskiéj chorobliwie wykrzywionym obrazem w rozgorączkowanych do stopnia obłędu umysłach niedorostków. — Garstka malców od lat 12tu do 18tu mających, uroiła sobie dokonać bez żadnych środków — o co ich ojcowie śród przyjaznych stosunków i z niewyczerpanemi jak się zdawało zasobami całego chrześciaństwa na próżno się kusili — o zdobycie grobu Chrystusowego.

Równocześnie prawie około 1212—1213 z Francyi i Niemiec wyruszyły dwie takie wyprawy. Francuskiéj przewodnikiem stał się wnet pastuszek Stefanek (Etienne), który zpośród mnóstwa chłopców wyrywających się w różnych okolicach kraju z domów rodzicielskich i wzywających głośno towarzyszów pod sztandary krzyża, największą sobie zdobył wziętość. Obchodził on kraj cały, garnąc koło siebie coraz większe tłumy dzieci, wołając i śpiewając: „Panie Jezu Chryste, powróć nam krzyż prawdziwy“. Na ten odgłos rojami zlatywali się chłopcy — nie pomogła namowa, ani zakaz, ani gwałt nawet, bo w tym ostatnim razie powstrzymani słabli i prędko umierali.

Zebrało się tak wnet około owego Stefanka oprócz mnóstwa pastuszków, jeszcze około 30,000 innéj dziatwy. Gdy ich pytano dokąd zmierzają? odpowiadali jakby z jednych ust: „do Boga“. — Z każdym dniem nowe przybywały gromady, nietylko chłopców ale i dziewcząt, w końcu przystało jeszcze kilku dorosłych i starców. — Z krzyżami i gromnicami zapalonemi w rękach, potrząsając chorągwiami i kadzielnicami uszykowani w porządne szeregi, odbywali pochód po kraju śpiewając. Szli tak wiedzeni niby wewnętrznym niepowstrzymanym popędem ku morzu Śródziemnemu, a na ich czele na wozie umajonym i strażą otoczonym ów przewodnik, wielbiony jako prorok, którego szatę ucałować tłoczono się z narażeniem życia. Dotarła tak rzesza niewiniątek do Marsylii. Tu gdzie według ich gorącéj wiary za ich nadejściem morze przed niemi usuwać się miało, ofiarowało się natomiast 2ch kupców Hugon Ferrens i Wilhelm Poreus przewieść ich bezbezpłatnie na chwałę Bogu, na 7miu przygotowanych statkach — okręty od brzegów odbiły, żeglując w kierunku ku Syryi — lecz już po dwóch dniach dwa się rozbiły o skałę i zatonęły pod wyspą S. Piotra przy Sardynii; reszta zmieniła wnet kierunek i zamiast do ziemi obiecanéj, popłynęła do wybrzeża afrykańskiego, by haniebnie uwiedzioną dziatwę sprzedać zdradziecko Muzułmanom. Ów potworny frymark przypłacili nikczemni jego wykonawcy gardłem — lecz około 50 tysięcy dziatwy marnie było częścią zgubionéj, częścią sponiewieranéj.

Nie tak okropnie, lecz nie dobrze także powiodło się wyprawie drugiéj, która z Kolonii przez Sasy i Alpy ciągnęła ku Adryjatykowi. Jak tam Stefanek, tak tu przewodniczył Mikołajek. W Niemczech ten obłąd chłopięcy zaraził nawet wielu dorosłych. W 7000 głów dostał się ten dziecięcy zaciąg do Genui. Tam pozostała część dzieci z domów zamożniejszych, inni

puścili się na morze lecz sumienniejsi żeglarze odwieźli ich częścią do domów, częścią do Rzymu lub innych okolic. Powrócili więc nie jak byli wyruszyli, tłumnie, głośno i ze śpiewem, lecz pojedyńczo, cicho, nago i głodno. Gdy przybyłych pytano: czemu byli wyruszyli? to zapewniali: że sami nie wiedzieli.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że owo rozognienie wyobraźni dziecięcéj nie było skutkiem jedynie usposobienia i skłonności z ducha owego czasu wynikłéj, lecz także a może i głównie dziełem zimnéj rachuby i haniebnéj chciwości, wyzyskującéj w sposób nieludzki dziecięcą łatwowierność. Otóż posądzono sektę Asusynów muzułmańskich, iż zapomocą kilku wypuszczonych z niewoli pod tym warunkiem chrześcian, przysposobili sobie tę pożądaną zdobycz; twierdzono nawet, że ów pastuszek Stefanek był przekupionym w tym celu oszustem. — Późniéj pojawiały się jeszcze tu i owdzie takie wypadki i zwykłą zagubą się kończyły.

Smutne to zaiste ofiary uczucia szlachetnego w pobudkach, lecz rozkiełznanego, wyłamującego się niesfornie zpod kierownictwa rozumu a rozognioną chorobliwie wyobraźnią posuniętego do szaleństwa.

Pochody biczowników.

Około połowy wieku XIV., azatém w przebraniu europejskiego ocucenia, z ciężkiego snu średniowiecznego zdawało się, że i świat fizyczny gwałtownemu uległ przesileniu. Jak gdyby na plemię ludzkie wszystkie spiknęły się klęski w szybkiém po sobie następstwie lub spółcześnie około r. 1348 nawidzały Europę straszne i rozległe trzęsienia ziemi, burze, upały i posucha naprzemian z ulewami i powodziami, nieurodzaj, szarańcza, głód a nakoniec przybyła z Azyi zaraza tak zabójcza i okropna, jakiéj przykładu nie było ani dawniéj, ani poźniéj. Anioł śmierci niszczącym tchem druzgocącego uraganu wionął po siedzibach ludzkich znacząc swe ofiary zwiastunową trupią bladością, która jakoby smętny odblask gasnącéj pochodni życia jeszcze przed wybuchem saméj choroby na obliczach zaległa. Pomór ten zwany śmiercią czarną, w pierwszym swym zapędzie zmiótł $^2/_3$ blisko ludności, kwitnące włości i miasta pozamieniał w pustynie, a szerząc trwogę i przerażenie, wstrząsnął silnie wszystkiemi posadami porządku społecznego, pozrywał najświętsze związki rodzinne; bo uciekał syn od ojca, matka od córki i nawzajem; publiczna sprawiedliwość zniewładła, bo nie było komu ją wykonywać; mniemano, że chory nietylko swym oddechem ale już samém spojrzeniem zaraża. Żywemi barwami skreślił obraz téj srogiéj niedoli jéj świadek naoczny twórca Decameronu Boccacio. I poecie Petrarce wydarła ta nieubłagana niemoc najdroższą perłę jego życia ubóstwioną przezeń Laurę. — W liście do brata między innymi tak się wyraża: „Kiedyż coś podobnego widziano lub słyszano? w jakich to dziejach czytano? próżne domy, opuszczone miasta, nieuprawne włości, pola od trupów ciasne, okropna rozległa na całym kręgu ziemskim pustynia, popytaj historyków: milczą; zagadnij fizyków: słupieją; wywiaduj się u filozofów: wzruszają barkami, czoło marszczą, i poluszek na wargi przyłożywszy, milczeć każą. Czy temu uwierzy potomność? gdy sami patrząc się na to, zaledwie dajemy wiarę, poczytując to za sen, gdybyśmy niestety przebudziwszy się, nie oglądali tego na żywe oczy a zwiedziwszy miasto pogrzebów pełne i powróciwszy do domu niezastając w nich drogiego rodzeństwa nie przekonali się o prawdzie tego nad czém jęczymy. O szczęśliwi prawnukowie co téj nędzy nie zaznawszy, świadectwo nasze może między bajki policzą“.

Takie nagłe, gwałtowne a powszechne wstrząśnienie wszystkich stosunków ludzkich nie mogło nie odbić się i na umyśle niezwykłemi zjawiskami, jakoż nie brakło ich także i to jak zwykle w obu najskrajniejszych kierunkach: z jednéj strony przerażenie i trwoga, z drugiéj lekkomyślność i swawola; tu przesadna wstrzemięźliwość, tam wyuzdana rozpusta; tu zwrot do ćwiczeń pobożnych i do fanatyzmu religijnego, tam do ośmielanéj bezkarnością zbrodni.

Z tamtego téż wyrodziły się dwa smutne następstwa: krwawe i zaciekłe mordowanie żydów obwinianych, że zatruciem studzien i powietrza wywołali tę okropną klęskę. „Żydów — jak mówi Długosz — w wielu miejscach mordowano i palono, innych wieszano; niektórzy, by ujść rąk chrześcian, siebie, żony, synów, córki i krewnych sami pozabijali. — Drugiém następstwem były pochody biczowników. O zdarzeniu pierwszém natrącę pobieżnie, iż ono dało powód mieczem i pożogą wytępianym Izraelitom do szukania schronienia w Polsce, gdzie pod Kazimierzem Wielkim nie tylko znaleźli gościnny przytułek, nie tylko bezpieczeństwo mienia i osoby, ale najsłodszy dla prześladowanego balsam — ludzkie spółczucie. — Zjawisko drugie o tyle w zakres niniejszego opowiadania wchodzi, iż może być poczytane jeśli nie za obłęd pospólny całkowity, to przynajmniéj za zboczenie umysłowe wielce do niego zbliżone. Że w chwilach powszechnego i ogromnego nieszczęścia zwrot do pokuty i skruchy jest równie chwalebny jak przyrodzie ludzkiéj odpowiedni, jest rzeczą przez się jasną; ale brak światła i nauki, a nadewszystko uczucie rozdrażnione do stopnia zaślepiającéj namiętności potworne i szkodliwe sprowadzać zwykło skutki. Już w roku 1260 na głos pustelnika Rajnera z Perudżyi zachęcający lud do pokutnego biczowania się pierwsze tego rodzaju pochody się pojawiły. Lecz w wyższym stopniu wznowiły się z powodu strasznego powietrza, o którém dopiero co wzmiankowaliśmy. Kromer kronikarz biskup tak ich opisuje: „Zagęściły się były natenczas po wszystkiém chrześciaństwie gromady mężów i białogłów w spólnéj kupie od głowy aż do

pasa nago za chorągwiami wędrujących, biczujących się i miłosierdzia bożego żałośném pieniem wzywających, którzy wtenczas téż (r. 1349) do Polski z Węgier zawędrowali byli. Lecz gdy ono, lub to nabożeństwo, lub téż zabobońatwo od występków i pogarszającéj nauki nie do końca wolne być postrzeżono, wnet karami zawściągnione i umorzone było“.

Już w r. 1260, gdy poraz pierwszy utworzyły się te pochody i z Włoch, do Niemiec się wylały, zaraziły one wieśniactwo wielkopolskie. (Dok. nast.)

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

— Ale któżby mówił o takiéj bagateli — odrzekłem uspakajając Lolusia.

— Bagatela dla pana, ale nie dla mnie; ja tę bagatelę długo czuć będę, ale bo mnie téż palnęła. To panie wszystko brak wykształcenia i nic więcéj, brak oświaty panie. Mało dotąd zajmowaliśmy się ludem, bardzo mało.

— I ztąd panie takie trudne zbliżenie się do niego — odrzekłem z lekkim uśmiechem.

Zmiarkował się Loluś, że niezręcznie przypiął poważną sentencją do swego niefortunnego wypadku i zmienił rozmowę.

— Ale czas nam iść — rzekł patrząc na zegarek.

— Gdzie?

— Jakto? To ja panu jeszcze nic nie powiedziałem?

— Nic wcale.

— No widzi pan. To wszystkiemu winna ta przeklęta dziewczyna. Ja tu przyszedłem prosić pana w imieniu cioci na obiadek i na spacer popołudniu. Co — dobrze? Zjemy sobie panie doskonały obiadek. Będą panie pierogi! Pan lubi pierogi — co? Ja bo panie passjami. Wiesz pan, formalnie tęskniłem za pierogami, bo ich tu nikt zrobić nie potrafi; aż Paulinka zlitowała się i obiecała mi dzisiaj sama zrobić ten przysmak. Pana pewno dziwi, że ja człowiek naukowy takiemi drobnostkami się delektuję — widzisz pan to skutek grzebania w naukach przyrodniczych — człowiek zapomina o ideałach, staje się praktycznym, realistą.

— Wiele pan masz lat? — spytałem naiwnie.

— Dwudziesty drugi panie. Pan z mojéj mowy sądziłeś mnie nierównie starszym — prawda?

— Nie panie, nierównie młodszym.

Nie zrozumiał przycinku, z czego rad byłem, wymknął mi się bowiem mimo mojéj woli. — Dla zatarcia tego zaproponowałem, abyśmy już poszli.

Słońce stało już w samém południu, ziemia pękała od upału, powietrze było rozgrzane, jak gorący oddech namiętności. Dlatego nie poszedłem drogą choć było nierównie bliżéj; lecz zwróciłem się na ścieszkę, która idąc przez łąki, wzdłuż rzeki pomiędzy olszynkami, była nieco ich cieniem osłonięta. Tak doszliśmy do kościoła. Było już po nabożeństwie. Różnokolorowe mnóstwo ludu wysypało się przed kościół. Ksiądz proboszcz siadał właśnie na bryczkę, odjeżdżając na jakiś obiad odpustowy w okolicy; dziady lamentowały jeszcze głośno koło drzwi kościelnych pod murem cmentarnym, który się ciągnie w bliskiém sąsiedztwie kościoła i karczmy; góralki zciągały żółte buciki, które jedynie na chwałę boską i dla uczczenia domu bożego wdziały były na chwilę; parobcy z kokieteryjnym uśmiechem przechadzali się między tłumem, zérkali na dziewczęta, które się zewstydzone odwracały na bok, tę lub ową trącali łokciem w bok dla wyrażenia swego afektu, lub ciągnęli za rękę do karczmy. Przed żydowskim sklepikiem ciżba największa: Stare baby wołają o nici, igły: elegantki wiejskie przymierzają trzewiki i pończochy, dziewczęta uśmiechają się do wstążek i pierścionków, a parobcy oglądają węgierskie fajeczki mosiężnemi blaszkami okowane. — Znowu o parę domów dalej małe dzieci płaczą, ciągną matki za rękę i proszą się o kukułki wystawione w oknie dla przynęty.

Z trudnością przepchaliśmy się przez tę rojącą się różnobarwną tłuszczę i nie dochodząc do kościoła, skręciliśmy z drogi na miedzę, która się ciągnęła pomiędzy łanami zielonego, przejrzystego owsa. Miedza poprowadziła nas aż do samego mieszkania pań. Domek to był schludny i w miłém położeniu, z ganeczkiem rzeźbionym w szwajcarskim guście. Przed domem zielenił się ogródek oparkaniony wysokim płotem, ponad który karminowe malwy i duże słoneczniki wychylały swoje głowy. Za ogródkiem był rozległy widok na góry.

Gdy ciocia spostrzegła nas przez okno, wyszła spiesznie naprzeciw nam i zatrzymując mnie we drzwiach rzekła pół głosem, z tajemniczą miną:

— Ach, dobrze że pan jesteś. Chcemy tutaj urządzić skromną owacyjkę dla pańskiego kolegi — dla poety. Pan nam w tém dopomożesz — dobrze. Loluś choć człowiek naukowy nie jest wymowny, mnie jako kobiecie nie wypada; więc pan będziesz tak dobry wznieść jego toast i coś stosownego powiedzieć.

— Komu? —

— No temu panu poecie, autorowi tego poematu, który nas tak —

— Ależ pani dobrodziejko, jakto ja? Ja mam do tego poety mieć mowę? — pytałem dusząc się od śmiechu.

— Pan. No i cóż w tém śmiesznego — odezwała się ciocia zgorszona nieco moim śmiechem i zapytaniem.

— Ależ ja pani dobrodziejko na żaden sposób tego powiedzieć nie mogę.

— Chyba przez zazdrość. Ha w taki sposób ja sama.... Proszę panów do stołu. —

Weszła, my za nią.

Wnętrze goralskiéj izby jakkolwiek samo z siebie dość schludne i miłe, pod ręką kobiet zmieniło się w prawdziwe cacko. Kuferki i ławy nakryto dywanikami, w okienkach bieliły się w piękny deseń haftowane firaneczki, nad łóżkami duża kotara, na małym stoliku kilka książek i kwiaty polne. Na drugim stole nakryto już do stołu i jakaś niemłoda jejmość prezydowała już na pierwszém miejscu. Ciocia wzięła mnie za rękę i poprowadziła do niéj.

— Pani pozwoli sobie przedstawić pana (jakże godność? spytała zwracając mowę do mnie).

Bąknąłem niewyraźnie jakieś nazwisko.

— Pani Eulalia Pipczyńska ze Lwowa — dokończyła ciocia.

Nastąpiła wymiana nizkich ukłonów, po których usiedliśmy do stołu. — Ksawerek siedział obok cioci nie domyślając się nawet tryumfu, jaki go miał spotkać, siedział poważnie, sztywno, krochmalno, macając się co chwila za kołnierzyki w obawie czy się nie odpięły. Między nimi a panią Eulaliją Pipczyńską siedział profesor kaligrafii i układał twarz stosownie do swego wieku i stanowiska. Mnie dostało się miejsce obok Paulinki. Loluś usadowił się między kuzynką i panną Pipczyńską, która co chwila poglądała na swoją mamę i odbierała od niéj telegraficzne upomnienia i uwagi za pomocą oczów. Znakami temi mówiła mama: nie jedz wiele, trzymaj się prosto, nie mów wiele z tym scyzorykiem itd. Panna musiala być wzwyczajoną do podobnéj komendy, bo ją doskonale rozumiała.

Za okazaniem się rosołu na talerzach nastąpiło uroczyste milczenie przerywane tylko sztukaniem łyżek i chlipaniem (proszę mi darować to nieestetyczne ale prawdziwe wyrażenie).

— A pan czemu nie je? — spytała czule ciocia Ksawerka, który był dziwnie czegoś zakłopotany i nie swój.

Pewnie mu się coś odpięło lub rozpięło — pomyślałem sobie wiedząc, że wszystkie prawie kłopoty Ksawerka od toalety się zaczynały i na niéj kończyły.

— Wy panowie tylko duchem, natchnieniem żyjecie — rzekła ciocia patetycznie. — O! szczęśliwi. Teraz pewnie jaki nowy pomysł kazał panu zapomnieć o ziemskich rzeczach?

— Ideały, ideały — rzekł do mnie Loluś poważnie, ja się w to nie bawię. Czekaj pan wnet zobaczymy pierogi.

— Czy wolno wiedzieć — pytała daléj ciocia z czcią należną dla geniuszów — o czém pan teraz marzyłeś?

— Ja? ja myślałem właśnie, że ten tego bardzo chętnie zabrałbym się do rosołu, gdybym miał łyżkę.

Ciocia aż podskoczyła na stolku na to odezwanie się, które tak zadrwiło z jéj poetycznych przypuszczeń. Być może jednak, że i to uważała za maskę, za którą mniemany poeta krył swoje natchnione oblicze. Ksawerek, gdy mu podano łyżkę, zabrał się nie na żarty do jedzenia. Ciocia tymczasem kazała nalać kieliszki, co chwila swój macała, brała w palce zamyślona i stawiała znowu na stole. Widocznie ciocia robiła jakąś małą przemowę. Szło jéj zapewne o to, aby odezwa, którą kiedyś biografowie wielkiego poety umieszczą w jego życiorysie, jaknajkorzystniejsze dała o niéj wyobrażenie potomności: poczciwa ciocia mozoląc się nad mówką pracowała ciężko i w pocie czoła na swoją nieśmiertelność.

Już dotknęła kieliszka i chciała powstać, gdy Paulinka trąciła ją lekko i z cicha zagadnęła:

— Ciociu! a gdzie ciocia kazała postawić pierogi?

Ciocia spojrzała na kuzynkę zamyślona, nieprzytomna.

— Są, są — odezwała się — chwile w życiu ludzkiém.....

— Ależ ja ciociu o pierogi się pytam.

Ciocia nie słyszała już tego zapytania — wstała, wzięła kieliszek w rękę i zwracając się do osłupiałego i zdziwionego Ksawerka i rzekła: —

Są chwile w życiu ludzkiém, które stanowią erę, chciałam powiedzieć epokę.

— Proszę pana, co to będzie? Co ciocia robi? spytała mnie Paulinka.

Uśmiechem odpowiedziałem na pytanie i słuchalem daléj.

— Taką chwilą — ciągnęła ciocia — w cichem życiu takiéj jak ja kobiety jest obecność w jéj domu człowieka, który lubo tak młody tak już zaszczytnie odznaczył się na niwie — Daruj pan — rzekła do Ksawerka, który nie dorozumiewając o co rzecz idzie patrzał wytrzeszczonemi oczami w twarz cioci — daruj pan, że odkryję jego incognito, że pozwolę sobie uczcić w moim domu tak znakomitego poetę.

— Ależ ciociu — odezwała się głośno Paulinka ciągnąc ją za suknię — to pomyłka, straszna pomyłka.

Jakto? — spytała ciocia, która na twarzy Paulinki, na mojéj i kolegów widziała dwuznaczne uśmiechy.

— To nie tamten pan, ale ten — odezwala się wskazując na mnie.

Teraz osłupienie z twarzy Ksawerka przeszło na oblicze cioci. Spojrzała na mnie ogromnemi oczami.

— Jakto to pan? Pan? — I pan mógleś mnie tak długo utrzymywać w błędzie?

— Trudno mi było gwałtem wdzierać się w prawa wierszokletu, od których mię pani tak stanowczo odsądziłaś w Kościeliskach.

Ciocia z kieliszkiem w ręku stała wciąż i nie wiedziała co począć, trudno było na nowo rozpoczynać orację do owego frazesu: są chwile w życiu ludzkiém; śmieszniéj by jeszcze było mowę adresowaną do kogo innego przepisywać na moje nazwisko. — Wybawiłem

ją z tego kłopotu wnosząc zdrowie dam, które jedynie w tym wieku materyjalizmu i pary (wyrażenie to pożyczyłem sobie z artykułów dziennikarskich) pielęgnują w łonie swojém zarody uczucia i poezyi. Ciocia spuściła skromnie oczy i zapłoniła się i nawet pani Pipczyńska na ten hołd oddany płci pięknéj, którą jéj brzydka twarz w naszym kółku po części reprezentowała, rozchyliła do śmiechu szerokie wargi pokazując bukszpanowy ząbek, który sterczał w jéj ustach jak ostatnia ruina, jako jedyna pamiątka po jéj nieboszczykach zębach. Gdyśmy usiedli, pani Eulalia uważała za stosowne zawiązać ze mną rozmowę o literaturze.

— Proszę pana czy żyje jeszcze ten... ten... jak że on się nazywa... ten.. ten.. co to pisze?

— Któż dziś, proszę pani, nie pisze?

— Ale on ładnie pisze.

Byłem w kłopocie, co tu powiedzieć na to pytanie.

— Pani dobrodziejka nie przypomina sobie nazwiska?

— Otóż właśnie, że zapomniałam, tak teraz przy kłopotach moich straciłam pamięć. Dawniéj mój Boże, miałam szaloną pamięć. Jakem była na pensyi u pani S. Była to najpierwsza pensja za moich czasów. Bo trzeba panu wiedzieć, że moi rodzice, jakkolwiek nie wielkim rozrządzali majątkiem, statarali się nam dać jak najstaranniejsze wychowanie i wykształcenie. Ale o czemże ja to mówiłam — a ha, więc żyje?

— Kto taki?

— No, ten hrabia.

Poddawałem jéj różne nazwiska, ale nie trafiłem.

— On panie pisze różne kawałki do teatru.

— Fredro?

— To, to, to panie. Żyje on téż jeszcze? — pytała z zajęciem.

— O! Żyje i dobrze mu się powodzi — odpowiedziałem uspakając ją.

— Chwała Bogu. I gdzież jest teraz?

— We Lwowie.

— We Lwowie? No proszę — i my mieszkamy we Lwowie, a nic o tém nie wiedziałyśmy.

— Ja wiedziałam, proszę mamy — odezwała się córka Hermenegilda.

Mama rzucała jéj oczami znak telegraficzny, który mówił: cicho bądź, i kontynuowała daléj ze mną literacką rozmowę:

— Tak człowiek teraz mało żyje w świecie od śmierci nieboszczyka męża. Pan musiałeś słyszeć o Pipczyńskim? O! on lubił literatów, wiele on się im nie nafundował. Ale, ale wie pan ten, ten Ignacy Żyński umarł? — Pan go znałeś?

— Nie pani dobrodziejko. Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

— A wszakże on także podobno coś pisał. Wyobraź sobie pan, był u nas na tydzień przed śmiercią. Bo trzeba panu wiedzieć, że on był instruktorem moich dzieci. Pragnęłam bowiem zawsze, aby moje dzieci były pod wpływem człowieka wykształconego, bo panie dziś tylko wykształcenie. Prawda? Cóż dzisiaj znaczy urodzenie? Nic. Toż i my mamy w naszéj familii nie — chwalący się, szlachetnych dygnitarzy, a jednak nie mówię o tém nikomu, bo dziś panie co innego popłaca. Prawda? Miałam z tego powodu zacięte dysputy z moją ciotką baronową B., o któréj córkę starali się dwaj hrabiowie R. Pan ich musisz znać. Mieszkają w Złoczowskiém. Majątek powiadam panu prześliczny, troszkę tylko nadszargał im go ojciec, który, między nami mówiąc, był utraciusz wielki. Widziałam go w Wiedniu, jak dla jednéj aktorki...

— Więc cóż pan Żyński? — spytałem usiłując rozpędzony język jejmości sprowadzić na bity gościniec.

— A, prawda. O czémże ja to mówiłam? Otóż pan Żyński przyszedł do nas na herbatę w sobotę — nie w piątek... dobrze mówię, w piątek czytéż w sobotę? Nie pamiętasz tu Hereciu? —

— W sobotę, mamo.

— Tak, w sobotę, a że u mnie zwykle herbata mu smakowała, bom zawsze sprowadzała z Rosyi najlepszą herbatę. Bo jestem tego przekonania, że lepiéj drożéj a co dobrego. I tak we wszystkiém. Naprzykład Herci trzeba było raz —

— Więc pan Żyński był na herbacie?

— Tak panie. A że to był człowiek małomowny, co ja bardzo chwalę, bo jestem nieprzyjaciołką gadatliwości — dlatego nie lubiłam nigdy w swoim domu widzieć pani R., która —

— Cociu! nieszczęście! — przerwał Loluś, który na chwilę się był oddalił.

— Co się stało? Zabito kogo?

— Nie. Szelma Azor zjadł wszystkie pierogi.

Błogosławiłem Azora i pierogi i Lolusia, którzy uwolnili mnie od słuchania niewyczerpanéj powieści o śmierci pana Żyńskiego literata.

— Mój Boże! a ja się tyle napracowałam — odezwała się Paulinka.

— Jesteś pani podobną do poety, którego poemata zgorzały, pozostaną one zawsze w naszéj pamięci jako nieznane arcydzieło — rzekłem.

Pierogów nie było, nie było więc na co czekać. Wstaliśmy od stołu, a że upał nie dozwalał jeszcze wyjść na spacer, więc całe towarzystwo podzieliwszy się na części, poszło pod cień leszczynowego gaju nad rzekę. — Ja chciałem podać rękę Paulince, ale że miała jeszcze ważny gospodarski interes, jak sama mówiła, więc poszedłem sam i położyłem się w cieniu jednego krzaka. Nademną na czystém błękitném tle nieba chwiały się różnowzorzyste gałęzie drzew, drobne muszki w powietrzu pląsały w najzawilszych, najprzecudniejszych figurach, jakichby im niejeden Vortänzer pozazdrościł. Zapatrzyłem się w drzewa, w błękit, w mu-

szki i zdrzemnąłem się. I zdawało mi się, że słyszę znowu panią Pipczyńską; gałęzista jéj mowa przemieniła się w drzewa, które wyrastały z niesłychanym pospiechem z jéj języka, a głosik jéj brzęki much wybornie naśladowały. Drzewo jéj wymowy rozrastało się coraz bardziéj w gałęzie, aż doszło do takiego ogromu, że mi się zdawało, że już, już padnie na mnie. Wzdrygnąłem się i przebudziłem. Na jawie znowu usłyszałem głos pani Pipczyńskiéj, pochwytanych kilka wyrazów zwróciły i zaostrzyły uwagę moją. Zasłonięty krzakiem mogłem niewidziany słyszeć wszystko. Pani Pipczyńska z ciocią siedząc pod drzewem, rozmawiały.

— Ja pani tego nie chwalę — mówiła pani Pipczyńska — otaczać się ludźmi młodymi i bez stanowiska — to strata czasu.

— A jeżeli innego towarzystwa nie ma?

— To zmienić miejsce — wyjechać.

— Ależ tu tak uroczo, cudownie.

— To się tak mówi pani, a przecież i ja inaczéj nie mówię, tylko że się jeździ dla zdrowia, dla przyjemności — a jednak głównie idzie mi o Hercię. Byłyśmy już w Krynicy, w Szczawnicy, ale nie widziałam nic odpowiedniego, tu także nic, sami jacyś studenci, poeci. Myślę więc pojutrze do Szmeksu. Mówią, że Węgrzy to bardzo gościnny naród, że Polki mają u nich szczęście. A pani co myśli zrobić?

— Ja chciałabym dla Paulinki zostać jeszcze czas jakiś.

— I po co? — Szkoda czasu na rozmawianie i bawienie się z ludźmi, z których żaden nie ma kwalfikacyi na męża ani dla pani, ani dla jéj siostrzenicy.

Ciocia zapłoniła się skromnie jak piętnastoletnia dziewczynka i skubiąc suknię palcami, odezwała się nieśmiało:

— Ja wcale nie mam pretensyi.

— A to czemu? Jesteś pani jeszcze w tym wieku... Daruj pani, że spytam, wiele sobie pani liczy?

Ciocia szepnęła coś tak cicho, żem doprawdy mimo natężonego słuchu dosłyszeć nie mógł.

— Ano, więc. Ja jestem o dziesięć lat starsza od pani, a mam nadzieję, i nie wachałabym się wejść powtórnie w związki małżeńskie, jedynie dla szczęścia méj Herci. — Któż to był ten pan, co przed chwilą z nami rozmawiał?

— To profesor.

— Jaki profesor, czego, gdzie?

— Nie wiem.

— A to ważne. Bo są profesorowie na 1500 fl., są i na 300, ja się znam na tém. — Zawsze to musi być co najmniéj profesor gimnazyjalny — zaraz poznałam, że to człowiek z jaką taką pozycją, już inaczéj się prezentuje. — On jak uważam nie obojętnie patrzy na panią.

— Ależ pani. —

— Ja się znam na tém. Jeżeli więc pani serce dotąd nie zajęte, mogę się zająć szczerze tym interesem. Dziś jeszcze na spacerze wybadam go. Szkoda czasu.

Nie wiem, co ciocia na tę natarczywą propozycją odpowiedziała, bo te panie wziąwszy się pod rękę, przeszły w inną stronę gaju. Za to inna figura zjawiła się obok mnie, był to profesor kaligrafii. Gładząc brodę, przechadzał się zadowolony w cieniu drzew. Gdy mnie zobaczył, stanął i rzekł poważnie:

— Rad jestem, żeś mnie zapoznał z temi paniami. Czy wiesz co zauważyłem, że te panie są mi wcale przychylne. Ta młoda wcale nie szpetna, a że ja mam już wyrobione stanowisko, więc kto wie, czy tutaj jeszcze nie zrobię stanowczego kroku.

— Będziemy mieć komedją — pomyślałem sobie.

— Gdzie mój cicerone? gdzie mój cicerone? — odezwał się dźwięczny głosik od domu — był to głosik Paulinki. — Pobiegłem ku niéj.

— Państwo idziemy na spacer — a pan będziesz miał znowu nieprzyjemność prowadzenia mnie — rzekła zwracając się ku mnie i podając mi rękę. (Ciąg d. n.)

Pogadanki domowe.

PRZEZ

Paulinę Wilkońską

(Dokończenie.)

III.

Apteczka domowa obfituje zwykle we wszelkie kosztowniejsze przyprawy i łakocie. Znajdziesz tam obok korzeni różnych, cukier, kawę, herbatę, sucharki, ciasteczka, pierniczki, konfitury, konserwy, przysmaczki rozmaite, wyborne napoje i t. d. i t. d. — Jest to niby *sanctuarium* każdéj gospodyni domu, i tam każda popisze się chętnie z zasobem swoim — ładem i porządkiem.

Ale obok tych specyalików, jakżeż potrzebną jest szafa z pułkami i szufladami na prawdziwą apteczkę domową. Niwy nasze obfitują w różne, przeróżne zioła, któremi nas obdarzyła Opatrzność. Łatwo jest uzbierać w czasie lata najpotrzebniejsze i niezbędne w różnych razach i chorobach zioła, jak np. kwiat lipowy, rumianek, mięta, melisa, kwiecie bzowe, ślazowy korzeń, sroczka, dziewanna, macierzanka, tysiącznik i t. d. i t. d.

Zbieranie ziół tych sprawi nawet przyjemną rozrywkę, przechadzkę wśród pól zielonych, przy wesołym chórze szarych śpiewaków pola. Zioła rozłożone na obrusie zasuszą się a potém ułożą w szuflady. — W razie potrzeby — choroby — mamy je zaraz pod ręką,

i niepotrzeba ich dopiero w miejskich kupować aptekach. Zioła takie są w każdym domu potrzebne koniecznie, mianowicie téż dla ludu wiejskiego — który nienawykły zaraz do lekarstw, w pomniejszéj słabości stósownie użytym rumiankiem, bzowym kwiatem i t. p., łatwo ulżyć sobie potrafi.

IV.

Ogrody na wsi największą stanowią przyjemność. Wdzięk życiu — powabu trudom dodadzą.

Niewielki to koszt i zachód założyć i wkoło małego dworku — przy szczupłych zasobach — zagony kwiatów trawniki i klomby. Uprawić ziemię, naznaczyć sobie planik na papierze — a potém pozakreślać chodniki; koła i półkola obłożyć darniną i zasadzić kwiatami. Obsiać trawniki i posadzić krzewy, choćby tylko bzy, trzmielinę, głóg i t. p. Na jednym trawniku zasadzić brzozę białą, a przy niéj dzikie róże; na drugim świerk młody i jarząbek — co tam lasy nasze dadzą i niwy! Całość tym sposobem złoży się wdzięczna, miła dla oka — i mieszkaniu wiele doda powabu. A cóż dopiero, gdy miejsce i zamożność są po temu! Ileż to zajęcia i wdzięku, oddając się upiększeniu tego raju wiejskiego! Tam widok odsłonić na pole — jezioro — lub wioskę. Tutaj mostek wznieść przez strugę. Tam przy grupie drzew starych ustawić z białéj brzeziny siedzenia. Tam znowu przy jodle zasadzić akacją i kamień duży położyć. Tutaj stworzyć klomb z róż samych — tam mięszany z lilijami białemi, i otoczyć go wieńcem z bratków ciemnych. Tutaj niechaj będą malwy — a tam georginije i t. p.

I założenie owocowego sadu nie jest rzeczą kosztowną, a jak przyjemną i pożyteczną. Nie trudno o maliny, porzeczki i agrest. A roku każdego zasadzić pare tuzinów szczepów owocowych, to z czasem i pięknym plonem będziemy się cieszyć; nawet już po latach nie wielu. Gruszka, jabłoń i śliwka, zawdzięczane zachodowi własnemu, o wiele są smaczniejsze od innych.

Warzywa stanowią bogactwo spiżarni i kuchni — są smaczne i zdrowe. Wymagają wszelako zachodu i dbałości. Potrzeba o lepsze postarać się gatunki, ziemię uprawić stósownie i opielać zagony, ażeby je bujne nie pokryły chwasty. Miło gospodyni domu piękném poszczycić się warzywem — i to niepoślednią zaletę jéj zabiegliwości przynosi.

V.

„Kucharką być nie myślę!“ — posłyszeliśmy już nieraz. A jednakże — jednakże znać się na kuchni, wielce potrzebném jest dla kobiety.

(Znałam hrabiankę, z rodziny bardzo arystokratycznéj, która u kucharza swojego ojca uczyła się gotować i piec ciasta. Jadłam te ostatnie i smakowały mi bardzo. Dodam jeszcze, że uczyła się krawieczyzny u krawcowéj, a strojów u modniarki. Otóż to wychowanie praktyczne!)

Pani domu powinna znać się na kuchni — a świadomość taka, już wobec własnego kucharza lub kucharki, bywa konieczną. Przy dobréj chęci nabędzie jéj, chociaż ją tego i w rodzinnym nie pouczono domu — bo wola dobra i potrzeba są najlepszymi mistrzami. Przedewszystkiém niechaj sobie kupi książkę kucharską, wydaną przez panią Ćwierciakowiczową.

Los niewiastami polskiemi już różnie pomiatał — i pomiata. Hrabine i księżne — bogate i rozpieszczone życiem — przez ciężkie przechodziły i przechodzą niedole. Świadczą o tém Sybir — i Emigracja!! — Niechżeż więc każda polska dzieweczka sposobi się już naprzód na ciernistą drogę żywota. Szczęśliwa, jeżeli ją pomyślniejsza dola innym powiedzie gościńcem.

Parzyć się w kuchni pani domu nie potrzebuje sama — dopóki ją smutna konieczność nie popchnie ku temu — ale niechaj umie pomówić z kucharzem albo kucharką. Niechaj także ma na względzie, że obiad dobrze sporządzony i smaczno, chociaż skromny i z prostych złożony potraw, wart wiele więcéj od wykwintnych i podanych z przesadą.

TEATR. — Przeszłość kobiety — Halszka. — Mazepa — hr. Essex — p. Wolański.

Mamy się obecnie obliczyć naraz z kilku nowemi w tym kursie reprezentacjami. Przejdziemy je po kolei:

„Przeszłość kobiety“ jest to jeden z nowoczesnych utworów będący niby komedją, niby dramatem. Zakrojono z góry na tendencją i ten grzech pierworodny podcina skrzydła utworu. Matka, która jeden fałszywy krok okupiła smutkiem całego życia, któréj sława z talentu nie może wystarczyć za utratę szczęścia rodzinnego, która wobec córki swojéj musi zachowywać się jakby obca — widzi córkę swoją na téj saméj błędnéj drodze. Dla młodego muzyka chce ona porzucić męża najlepszego, ale który się jéj prozaicznym wydaje, chociaż ją serdecznie kocha. Matka ratuje ją, nie dopuszcza do zbłądzenia, a czynem tym odzyskuje prawa matki. Oto cała rzecz. Są tam sceny żywe, systuacje drastyczne, dużo prawdy w dykcyi, tło społeczne nakréślone z humorem; ale nadewszystko znaczy odegranie mistrzowskie. Już to wszyscy artyści nasi, jeżeli im w salonowych utworach przypadną odpowiednie role, mogą iść o lepsze z teatrami stołecznemi.

„Halszka“ Szujskiego jest to najlepszy z wszystkich przedstawionych dotąd dramatów tego poety. W późniejszych jego dramatach, nie ma ludzi z krwi i kości, ale tylko szczudla, na których chodzą idee i doktryny; historyczno publistyczna tendencyjność za-

bija tam naturalność i poezją. Nawet w Halszce jest dykcja już książkowa nie ludzka, nie ma wcale żywego djalogu — jednak widzimy tu jeszcze ludzi i akcja dosyć żywo się rozwija. Walka miłości w Halszce z uczuciem krzywdy doznanéj przez pogwałcenie domowych świętości, łamanie się Dymitra w walce z obojętnością Halszki, zaciętość Beaty matki — któraby po staropolsku nazwać można mężyną, żywe przedstawienie postaci magnatów i senatorów, jak butny Wasyl Ostrogski, nieugięty Zborowski, wielce sympatyczna rola króla Zygm. Augusta, wierne historyczne tło całéj epoki, akt piąty pełen prawdziwie dramatycznych sytuacyj i efektów, oto warunki które już rozstrzygnęły od lat kilku o losie tego dramatu na scenie. Jakkolwiek całe osobiste wprowadzenie króla i cała scena sądu jest do rozwoju dramatu niepotrzebną, to jednak wzgląd ten estetyczny umilka tutaj wobec zadowolenia jakie musi sprawiać publiczności widok kawałka z historyi ojczystéj. — Chcąc ocenić grę znajdujemy się w kłopocie, żeby prostemi pochwałami nie wpadać w komunały — a znowu nie zawsze mamy wolne miejsce, aby nad właściwością przedstawienia głowniejszych ról się zastanowić. Powiemy więc tylko, że artyści nasi robią ogromne postępy, że cieszymy się, że w fotografijach zachowują nam pp. Modrzejewska, Hoffman i Rapacki postacie swoje i sceny z Halszki, z Balladyny i wszystkich ważniejszych utworów, aby w ten sposób tradycje wybornéj gry przyszłym artystom pokazać. Albumy takie są w ogóle dla czytającéj publiczności najlepszemi ilustracjami do ulubionych dzieł. —

Co do „Mazepy“ Słowackiego odsełamy znowu Czytelników do ubiegłego rocznika Kaliny — tu tylko o przedstawieniu słów kilka. Amelją, tę białą liljç, charakter będący przeciwnym biegunem od Balladyny i Beaty oddała p. Hofman z taką mistrzowską prostotą, z takim idealnym wdziękiem, sceny niemêj boleści z taką siłą — jakiéj mimo całego uznania jéj talentu— przyznamy się, nie spodziewaliśmy się. O wojewodzie powiada p. Tarnowski, w swojéj prześlicznéj rozprawie o Słowackim, że jest to charakter zupełnie nieprawdziwy i niemożliwy zwłaszcza w Polsce. Nie możemy się zgodzić z têm zdaniem chociaż pochodzi od autora który zdobył sobie odrazu stanowisko znakomitego i gruntownego krytyka. Przypomniemy więc, że zazdrość jest uczuciem równie ogólném i codziennêm jak miłość, że zaślepienie i gwałtowność téj namiętności jest dziksza jeszcze i fatalniejszą, jak miłości. Cóż dopiero jeżeli to jest zazdrość starca, do tego despoty w swoim domu; a ona to właśnie jest głównym patosem wojewody. P. Rapacki uplastycznił butę magnata, wzruszył nas głęboką rzewnością boleści w ostatnim akcie — brakło jednak postaci jego właśnie owéj ślepéj gwałtowności w scenach gdzie nim zazdrość miota; w których widza powinien przestraszyć i przerazić kolosalną potęgą namiętności. Miarkowanie się estetyczne, owa wielka zaleta talentu p. R. mogłaby tą razą więcéj się rozgorączkować. — Panu Ładnowskiemu, który wszystkie role swoje bohaterów i kochanków oddaje starannie, zrobimy tę uwagę że powinien większéj rozmaitości w charakteryzacyi używać, a w scenach wezbranego uczucia winien mówić spokojniéj, a za to głośniéj. Charakteryzacją powinien p. Ł. zasłonić pewien cierpki grymas w ustach, który nie zawsze roli odpowiada i staje się monotonnym. Role kochanków są zwykle podobne do siebie — têm większa zasługa artysty jeżeli potrafi się odświeżać. — W roli Mazepy wystąpił po raz pierwszy p. Wolański z teatru tarnowskiego. Nie chcemy i nie możemy z téj jednéj roli wyrokować, zapiszemy tylko, że uwydatnił należycie wdzięk, płochość, i dobre serce — trzy żywioły tworzące Mazepę, i że pojawienie się jego przyjęła publiczność z żywą sympatją. — Głos wdzięczny, pełny; postawa i twarz ujmująca; swoboda ruchów; deklamacja okazująca, że artysta rozumie, co mówi, są to warunki, które zapowiadają w p. W. istotny talent i każą się nam cieszyć z nowego nabytku. —

Dramat hr. Essex pozyskał szeroką renomę z przedstawień w teatrze nadwornym wiedeńskim. Autor p. Laube wieloletni dyrektor owéj sceny, jednéj z pierwszych w Europie posiada dokładną znajomość warunków scenicznych, i umiał dramat swój w takowe uposażyć. Akcja rozwija się żywo, charaktery narysowane pewną ręką, z fabuły politycznéj wyłaniają się ukryte motywa osobistych widoków, sprawy sercowe, zawiści i miłości, kolizja podnosi się w 4 i 5 akcie do sytuacyj wielce dramatycznych, które widzów do głębi poruszają i zapewniają powodzenie téj sztuce na scenie. — Polityczni nieprzyjaciele oskarżają hr. Essex, wicekróla Irlandyi, o przeniewierstwo — królowa Elżbieta mszcząc się zawiedzionéj swojéj miłości ku niemu, upokarza go publicznie. Essex odpowiada domową wojną, w któréj upada i jako zbrodniarza stanu, czeka go śmierć. Prowadził on niebezpieczną grę i przerachował się. — Aby zgnieść swoich przeciwników, ułożył intrygę podsuwając im dowody przeciwko sobie, które sam podrobić kazał — poślubił potajemnie lady Rutland, a nie ma odwagi zerwać stosunku z królową, nadto i trzecia kobieta nienawidzi go i przeciw niemu podjudza. W zawikłaniach tych ginie Essex i osieroca żonę. — Kobiety dotknięte w miłości własnéj, zapominają o zemście w ostatniéj chwili i chciałyby go uratować; ale Essex odpycha wszelki ratunek ubliżający jego przywiązaniu do żony — a potém już zapóźno. — Jest to fabuła zajmująca, walka sprzecznych namiętności odbywa się w oczach naszych, tło historyczne prawdziwe — słowem jest to prawdziwy dramat. Królową grała p. Aszperger. Musimy powtórzyć, że sceny gdzie deklemacja przeważa i wystarczają jéj pe-

wne z góry obliczone giesta, są najpewniejszą stroną téj artystki — w scenach żywszych, gwałtowniejszych przeszkadza jéj rutyna do wywołania wzruszenia, zwłaszcza że twarz jéj nie ma wcale ruchliwości muszkułów i artystka nie potrafi zmieniać jéj fiziognomii. Ta ruchliwość wyrazu, rozmaitość wibracyi głosu, to siła p. Modrzejewskiéj, to też sympatyczna postać lady Ruttland grała z przejmującą serdecznością. Pan Benda, jako Essex unikał dosyć szczęśliwie w tonie i deklamacyi owéj przesady, którą nieraz w rolach bohaterskich grzeszy. Więcéj się miarkować, to główna nasza dla p. Bendy rada. — Dramat ten doczeka się zapewne u nas więcéj przedstawień. *S.*

„**Powieść z dawnych czasów**“, skreślił Maurycy Dzieduszycki — we Lwowie u Karola Wilda 1868 r. str. 192, 8vo Unikając napisania powieści jaskrawéj i śmiałe mającéj tendencje postępowo-społeczne, w niecierpliwości, aby coprędzéj wszystko wypowiedzieć i skończyć — skreślił autor powieść z dawnych czasów, któréj sami jego bohaterowie nie pozwalają nazywać tuzinkową — a która więcéj na dosyć ciekawą „historyjkę“ aniżeli na powieść zakrawa. Na tle znanego dobrze autorowi z dziejów wieku XVII. — wieku Jezuitów i Dyssydentów — wieku Zygmunta III. i Boboli, wieku Skargi i upadającéj Polski — osnuł autor swoje opowiadanie, z którego istotnie wieje duch owéj epoki. Archeologicznych przyborów w malaturze zwyczajów nie zabrakło, ale oszczędność psychologicznych spostrzeżeń, których się sam autor w epilogu wyrzeka, zanadto osuszyła rzecz całą. Prócz interesu jaki obudza los Heleny pokrzywdzonéj przez rodzinę dumną, a chciwą grosza, i opuszczonéj przez ojca, który swą pielgrzymią rolą dodaje tajemniczéj niby romantyczności dziełu — reszta wypadków i obrazów nadzwyczaj blado odstaje od prawdziwego tła, jakie autor z początku książki naszkicował. Opowiadanie jednak naturalne, proste, czasami może zbyt naiwne, czyni powieść łatwą i miłą w czytaniu — wartość jéj jednak rozbija się z jednéj strony o brak artystycznéj siły powieściowéj, a z drugiéj o wstręt do tendycyjności, do którego się autor przyznaje.

Jestto powieść napisana według ułożonéj z góry formułki — udać się więc nie mogła, i nie tutaj jest pole dla pracy autora znanego zarówno z wielkiéj wiedzy i badań, jak i z jednostronności, właśnie tendencyjnéj. *i.*

---

† W zeszłym tygodniu pochowaliśmy Dr. Ignacego Kraus'a, lekarza powiatowego. Liczna publiczność towarzyszyła pogrzebowi — zmarły bowiem cieszył się w mieście naszém powszechną sympatją i szacunkiem, a z ciężkich lat 63go i 64go pozostała u więźniów politycznych, którzy pod jego opieką w kryminale krakowskim siedzieli, wdzięczna pamięć zacności jego charakteru i taktu w postępowaniu.

*** Na fundacją Szajnochy wpływają mnogie dary, których spis z braku miejsca następnie podamy. — U nas złożono dotąd: Prof. S. 1 złr., Dr. L. Gumplowicz 5 złr., J. K. Turski 2 złr., Czytelnik Kaliny 5 złr.

*** Piszą nam z **Wiednia**. — Goltz tak w tym jak i w zeszłym roku miewał odczyty w sali akademii handlowéj w Wiedniu. Miał publiczność liczną i wyborową. Prelekcje jego były to poprostu zręcznie bardzo zestawione aforyzmy z jego dzieł (z których wyjątki podaliśmy w zeszłym roku — Red.); daleko przyjemniejsze aniżeli pisma jego, bo przez wzgląd na słuchaczów złagodził on znacznie ton szorstki i ostry, który tam wieje.

W zeszłym roku słyszałam odczyt jego o kobietach. Mówił on i o Polkach, w szczególności chwalił je z urody i elegancyi, i powiedział, że je niewłaściwie nazwano „Francuskami północy“, gdyż one raczéj są „Hiszpankami północy“ (Spanierinen des Nordens). — W tym roku byłam tylko na odczycie „über Lebensklugheit“ i „Umgangsformen“; zdaje się, że on umie dobrze po polsku, bo przytoczył przysłowie: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię“ — i dopiero przetłumaczył na niemieckie.

*** **Dyrekcja Tow. Przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie** podaje do wiadomości pp. artystów-malarzy następujące punkta ze swego programu wystawy:

1) Wystawa obrazów rozpocznie się z dniem 13go lutego 1868 we Lwowie, w sali domu narodowego, która się odznacza obszernością i dobrém światłem.

2) Dyrekcja przyjmuje obrazy na wystawę już od połowy stycznia 1868, lecz najdaléj aż do 15 marca 1868. Co do obrazów, któreby późniéj dopiero mogły być na wystawę przysłane, należy się wprzód listownie z Dyrekcją porozumieć.

3) Do każdego przysłanego obrazu należy dołączyć kartkę z wymienieniem przedmiotu obrazu i jego ceny, tudzież adresu artysty i miejsca, gdzie obraz z wystawy ma być odesłany. Krótkie daty biograficzne pp. artystów bardzo są pożądane.

4) Niezamieszkali w miejscu właściciele obrazów, mogą się znosić z Dyrekcją za pośrednictwem przebywających we Lwowie pełnomocników, gdyby zwykłą drogę listową uwali za niedostateczną.

5) Dyrekcja będzie przestrzegać jak najściśléj, ażeby żaden z wystawionych obrazów nie był jakimkolwiekbądź sposobem bez pozwolenia artysty lub właściciela odrobiony — nie da zaś miejsca na wystawie takiemu obrazowi, którego twórca tegoby sobie nie życzył.

6) Żadnego obrazu, nawet sprzedanego, nie można odbierać z wystawy przed zamknięciem tejże. W szczególnych wypadkach, gdzieby w skutek tego przepisu sprzedaż obrazu miała być uniemożliwiona, należy się porozumieć z Dyrekcją.

7) Obrazy zakupione, lub takie, do których odesłania Dyrekcja się nie zobowiązała, mają być najdaléj w miesiąc po zamknięciu wystawy odebrane.

*** W kronice karnawałowéj oprócz wieczorów w resursie, mamy zapisać dwa świetne bale. Techników był najliczniejszy ze wszystkich dotychczasowych i odznaczał się kosztownemi toaletami. Wielki natłok nie pozwalał na swobodę w tańcach, które mimo to przeciągnęły się do godziny 5téj rano. Dwie pary popisywały się czardaszem wpośród brawa publiczności. Pogubione szale, paletoty i cylindry szukają dotąd napróżno swoich właścicieli.

Bal rękodzielników i przemysłowców wypadł równie świetnie. Witamy go jako pierwszy tego rodzaju z prawdziwą radością. Zajmie on odtąd stałe miejsce w szeregu corocznych karnawałowych uroczystości.

Już na post zostanie nam sprawozdanie jeszcze z trzech balów: w ratuszu u Prezydenta miasta, kostiumowy urządzany przez medyków i bal artystyczno-literacki. Ten ostatni pozostawił po sobie z zesz. roku jak najprzyjemniejszą tradycją — odznaczył się bowiem elegancją, nie ową wyszukaną, sztuczną, ale naturalną,

a zabawa bez ścisku, szła tak ochoczo, jak na żadnym balu. Tego roku urządzają go założyciele kasyna artystyczno-literackiego wraz z Muzą. —

Biletów familijnych po 4 złr. — pojedyńczych po 1½, galeryjnych po 1½ złr. można dostać za okazaniem zuproszenia w biurze pod Nr. 55 w hotelu saskim.

(Nadesłane.)

KRAKOWIAK.

Pannie Helenie N.....

w upominku.

Na krakowskiéj ziemi, gdy zagrają skrzypki,
Człek tańczy i śpiewa, choćby dostał chrypki,
Choćby dostał chrypki, choćby spuchło gardło,
Chociażby się buty nowiusieńkie zdarło.

Od ucha do ucha rznijcie muzykusy,
Wszak-ci ja Krakowiak, a nie żaden kusy,
Dudnij-że mi dudnij, kochana basico,
Przecie ja tańcuję z krakowską dziewicą.

Tam, gdzie kopiec Wandy, gdzie kopiec Kościuszki,
Tam się jeszcze rodzą poczciwe dziewuszki,
Oj rodzą się rodzą, ale nie daj Boże
Aby kiedyś kąkol zanieczyścił zboże.

Ziemio moja ziemio, i w twojéj wnętrzności
Kości naszych dziadów, trzęsą się z radości
Trzęsą się z radości, boć im przecie miło
Że się jeszcze u nas nie wszystko zmieniło.

Fr. Mik.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.
We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.